LISTY do ALINY.

O GRAMMATYCE JĘZYKA POLSKIEGO.

L'amour est fait pour la jeunesse.
Demoustier.

List pierwszy.

Życzenie twoje, nadobna Alino, poznania języka polskiego, obiecuje Ci pomnożenie korzyści, wynikających ze znajomości każdego języka, a bardziey narodu, który w historyi dziejów ludzkich i postępow doskonalenia umiejętności, od kilku już wieków, zapewnił dla siebie mieysce. Znaydziesz w nim nie jedno i z tych dzieł rozumu, które, płci twojey zalety podnosząc, obok uwielbień, prawa jey do wiekuistey utwierdzają chwały. W mowie polskiey spotka Cię jeszcze przyjemność, powtarzania tych dźwięków, jakiemi Twoja naylepsza Matka, naypierwiey w życiu tłumaczyć się zaczęła, a które Ci teraz, jeżeli nie zupełnie są obce, zdają się jednak nie mało bydź trudnemi.

Znając twóy umysł, pewny jestem, że nie masz zamiaru, powierzchowney tylko nabydź znajomości tego języka, i przestać na rozumieniu potocznych obrótow codzienney mowy. Ty moc jego i wdzięki zechcesz jednoczyć w nowych Twego rozumu i uczuć tworach. Wtedy on nowey nabędzie krasy od delikatności Twojego smaku; nowey tkliwości od serca twego czułości; nowey wdzięczności dźwięków od czarow melodyyney harmonii Twojego organu, w wymawianiu rymów Drużbackiey, myśli Leszczyńskiey.

Czuję nieudolność moję do przedsięwziętey pracy: ale się cieszę nadzieją, iż kiedy ona nie odpowié zupełnie szczerym mym chęciom, Ty przynaymniey pomyślisz, żeś była jey przedmiotem jedynym.

Chociaż dosyć jest wprowadzić Ciebie do rzeczy, aby się stała zaymującą; lecz, że przedmiot Grammatyki jest niezmiernie suchy i nudzący, pozwól więc dla siebie samey:

Aby poezya nieśmiała,
Te prawidła przeplatała;
A kréśląc Tobie prawdy mniey ciekawe,
Mogła przynosić z nauką zabawę.

Będę się starał mało Ci mówić, Alino, o Grammatyce w ogólności, znajome są bowiem Tobie te zasady z nauki innych języków; zwrócimy uwagę wprost na język polski.

Mamy liter 27, jako to: *a. ą. b. c. d. e. ę. f. g. h. i. y. k. l. ł. m. n. o. p. r. s. t. u. w. z. ź. ż.*

W tey liczbie znayduje się ośm samogłosek: *a. ą. e. ę. i. y. o. u.*, a reszta spółgłosek. Ze spółgłosek, tworzy się siedm głosek zadwóynych czyli złożonych: *cz. dz. dź. dż. sz. rz. ch.*, które połączone z samogłoskami, czynią oddzielne, sobie właściwe, brzmienie.

Jeśli Ci się trafią dwie lub trzy samogłoski, które w wymawianiu w jedno się brzmienie zlewają, są to dwógłoski i tróygłoski. Naprzykład, rozbiérzmy kilka wierszy, jakie mi na myśl przychodzą.

„*Ia* tylko *iey* tchn*ie*n*ie*m żyię;
Serce me *iey* życ*ie*m biie;
N*ay*słodsze głosu *iey* brzm*ie*n*ie*,
Iey wesołość i c*ie*rp*ie*n*ie*,

Zaymnią mi duszę całą,
Lecz dla uczuć tego mało

Przytoczywszy Ci, Alino, ten przykład, z trudnością muszę wracać do układu głosek: on mię napełnia jakiémś wyobrażeniem, cale nie z grammatycznych uwag wypływającém; lecz, że to obcém jest dla Ciebie, przeto znaydziesz wtym przykładzie tylko połączenie spółgłosek i samogłosek. Z tych ostatnich są te: *ia. ie. ią. ię. ay.* dwógłoski; *iey.* tróygłoska.

Język nasz zamożny jest w te połączenia samogłosek, które dostarczają mnóstwa rozmaitych przemian głosu.

Byli jednak tak zuchwali,
Co się na to usadzali,
I nad tém suszyli głowy,
Jakby odebrać skarb ten narodowy.

Będę Ci o tém mówił obszerniey na swojém mieyscu, dodam teraz tylko, że nie poymuję, na coby się on im przydał.

Podobnego losu, jak mowa polska od tych zapaleńców do nowości, ja doznałem od Ciebie Alino. Lecz dwógłoski i tróygłoski, o które rzecz idzie, zostaną, ale to, com ja stracił, już się podobno nie wróci.

Niegdyś wesoły i młody,
Spokoyny, szczery i śmiały,
Biegłem w rzeskie korowody,
Dla roskoszy i dla chwały.
W wolne od zabaw godziny,
Przyszłości uwielbień chciwy,
Zagłębiałem się szczęśliwy,
W ubiegłych wieków ruiny;

Gdy jedno Twoje spóyrzenie,
Zniszczyło lubc złudzenie.
Szczęśliwey strony ozdobo!
Jednaś jest dla mnie na ziemi!
Myśl moja idzie za tobą;
Sława, co mię czasem wzywa,
Zda się z laurami swojemi,
Na twojem łonie spoczywa.
Odtąd od świata daleki,
Niknę w smutney samotności,
Niczém mi powab przyszłości,
I walczące turki, greki.

Taki stan, przyznasz Alino, może podniecać użalenia; jednak ja go znoszę w milczeniu: gdyż to, co mię może uczynić szczęśliwym, nie przez prośby się otrzymuje.

Przebaczysz, łagodna Alino, kiedy mi się wydarzy zboczyć od głównego celu: jest to konieczność każdego, kto pisze dla Ciebie.

Gdy sercem włada kochanie,
Łatwo posłuszney bydź myśli;
Umysł wpada w obłąkanie,
A pióro Alinę kryśli.

Ale powróćmy do Grammatyki. W wymawianiu spółgłosek, natrafisz na brzmienie ich miękkie, w tenczas się różnią w pisaniu kréską, np. przyja*źń*, miło*ść*, dobro*ć*, i t. p. Jeśli zaś znaydziesz taką kréskę nad samogłoskami *é* lub *ó*, w tenczas piérwsza zarywa nieco na *i*, ostatnia zaś na *u*, np. lepi*é*y, mocni*é*y, kr*ó*l, dw*ó*r, kt*ó*ry.

Aby Cię, miła Alino, nie znudzić zbyt długiém rozprawianiem na początek, nic Ci już

więcey nie powiem o Grammatyce. Przyym tylko przeproszenie za ton poufały, którego się będę trzymał w tych listach. Myśląc o Tobie, względy światowe nikną w mey duszy; ale się wreście usprawiedliwiam:

Ty, nie powinno obrażać Alinę,
Bo szczerość zawsze tak nazywa cnotę;
Ty, nazywamy naydroższą istotę,
I dla przyjaźni to imie jedyne:
Można więc bez uchybienia,
Tak zwać przedmiot uwielbienia.

List wtóry.

Przyszła nauki godzina:
I już w mojey wyobraźni,
Stanąć może bez bojaźni,
Swiéża, jak ranek, Alina.
Gdyż wyznam Ci skromność moję,
Że dopóki snu zasłona.
Nie spadnie z Twojego łona,
Myślić o Tobie się boję.
Tak zawsze miłość prawdziwa,
W marzeniach nawet trwożliwa.

Lecz już w tey chwili widzieć Cię niebronno, i choć siedzę samotny, Ty jednak, Alino, jesteś ze mną; śpieszę zająć Ciebie rozpoczętym wczora przedmiotem.

Mamy w języku naszym ośm części mowy, a te są: *imie*, *zaimek*, *słowo*, *imiesłów*, *przysłówek*, *przyimek*, *spoynik i wykrzyknik* Z tych pierwsze cztéry są *odmienne*, dalsze zaś *nieodmienne*. Zaczniymy od Imienia.

Lecz maleńkie zboczenie z przyczyny podziału mowy. Gdyby też pozwolono jakiemu grammatykowi, dla łatwieyszego poznania ludzi, rozebrać ród człowieczy na pewne działy; podzieliłby go zapewne na *odmiennych* czyli *niestałych* i *nieodmiennych* t. j. *stałych*. Do pierwszego rzędu należeliby: *zalotnicy*, *kokietki*, *zapalający się* i *oziębli*, w drugim byliby: *prawdziwie kochający*, *prawdziwie kochające*, *czuli* i *czułe*.

Alino, zostań w tym rzędzie;
Kiedyś zgodzimy się z sobą.
Kto, jak ja, zajęty Tobą,
Ten pewnie zmiennym nie będzie;
Jakiekolwiek mię czeka przeznaczenie,
Ja się dla Ciebie nigdy nie odmienię.

Ale mówmy o Imieniu. Imie oznacza rzecz, albo przymiót rzeczy, lub też ilość tego obóyga. Ztąd mamy imiona rzeczowne, przymiotne i liczbowe. *Alina skromna*, *łagodna*, *uymująca*, *czuła*, *okrótna*; *Alina*, jest imie rzeczowne, *skromna*, *uymująca* i dalsze, są to imiona przymiotne. Policzenie Twoich przymiotów i powabów, da Ci poznać imie liczbowe. Nie będę przytaczał na nie przykładow: boby to daleko nas zaprowadziło.

Imiona rzeczowne czyli rzeczowniki, dzielą się na żywotne: np. *kobiéta*, *gołąb*, *słowik*, *synogarlica*, i nieżywotne: *dóm*, *zwierciadło*, *grzebień*, *nożyczki*; do tych ostatnich policzone są i kwiaty.

Jam jednak słyszał, a wyznam Ci szczerze,
Że w słyszane często wierzę;

Jakoby stólistna róża w Twoich ręku,
Nowego coraz nabierając wdzięku,
Równać się pragnęła z Tobą;
Mówiąc: „Alino! tyś świata ozdobą,
„I świeżość Twojego lica,
„Równie, jak móy kwiat, zachwyca."
Ty na to, cicha, jak wiosenny ranek,
Mogąc się podnieść do samych niebianek,
I tam szukać chwały nowey,
Zmilczałaś kwiatów zbyt dumney królowey,
Przystając, jakby Twoja twarz nadobna,
Do róży tylko podobna.

Z tego wnieśćby wypadało, że różę przynaymniey trzeba policzyć do imion żywotnych: bo kto mówi, ten żyje.

To prawidło ma wszakże następujący wyjątek:

Twojego tylko miłość przyjaciela,
Odbierając rany nowe,
Ozwać się nawet nigdy nie ośmiela.
W ciągłem duszy zaburzeniu,
Skryta jak światło grobowe,
Żyje w milczeniu.

Oprócz wymienionych wyżey podziałów, rzeczowniki dzielą się jeszcze na zmysłowe, jakiemi są: *teatr*, *arfa*, *książka*, i umysłowe: *duch*, *dusza*, *anioł*. W tych ostatnich przykładach, to jest: do rzeczowników umysłowych czyli pod zmysły niepodpadających, policzyłem Ci anioła. Tak chcą uczeni.

Ja się w tém nie zgadzam zgoła,
I przekonywać będzie mię daremno:

Bo któż zaprzeczy, że widzę anioła,
Kiedy niewinna Alina przede mną.

Wiész już Alino, choć nie z tey Grammatyki, że wyrażenie płci nazywają rodzajami. Język polski, oprócz męzkiego i żeńskiego, ma jeszcze rodzay nijaki, to jest: nieoznaczający żadney płci, jako: *dziecię*, *srébro*, *złoto*, *uczucie*, *życzenie*.

Imionóm nieżywotnym nadajemy rodzaje z podobieństwa ich zakończeń do żywotnych. I tak: *kwiat*, jest rodzaju męzkiego: gdyż imiona żywotne zakończone na *t*, są rodzaju męzkiego; *Łąka*, jest rodzaju żeńskiego: gdyż imiona rodzaju żeńskiego kończą się po większey części na *a*: są jednak od tego wyjątki. Które zaś imiona do żadnego z tych dwóch należeć nie mogą, te mają rodzay nijaki, i kończą się zazwyczay na *e*, *ę*, *o*, np. *drzewo*, *dziecię*, *kurczę*, to mnieysza; lecz do rodzaju nijakiego należą jeszcze: *niebo*, które jest tylko w oczach twoich, *życie*, *spóyrzenie*, *kochanie*, a nawet i *szczęście*.

Zawsze biéda z uczonemi.
Mędrek, siedząc w gabinecie
Między książkami zmudnemi,
Nie zna, co *szczęście* na świecie,
Życie mu schodzi w szperaniu,
Ciągle w głowie jakaś burza;
Niebo się jemu zachmurza,
A nic nie wié o *kochaniu*.
Tak niewiedzieć po jakiemu,
Gnuśniejąc w własney niewoli,
Podług swojey daje woli,

Rodzajowi nijakiemu,
Zycie, szczęście, panowanie,
I spóyrzenie i kochanie.
Gdyby on piękną Alinę
Widział, przez jedną godzinę,
Poznałby, że i *szczęście* chodzi wraz z miłością,
Że urocze *spóyrzenie* Twoją jest własnością.
A w tenczas pewnie te wszystkie wyrazy,
Doznałyby w rodzajach swoich przeobrazy.

Zastanawiając się nad podziałem rzeczowników, zapytasz mię zapewne, ulubiona Alino, do jakiego rzędu masz policzać cnoty i przymioty, tak Tobie właściwe, które tylko myślą prawdziwie można ogarnąć, jako: *dobroć*, *słodycz*, *przyjemność*, *piękność*, *litość*, *tkliwość*, i t. p.? Możnaby je odnieść do imion umysłowych, jeśli Ty Alino ich nie uosabiasz; wszakże dla rozróżnienia, nazywają je przymiotowemi.

List trzeci.

Podział imion, już Ci jest wiadomy, nadobna Alino; abyś mogła rozróżnić rozmaite ich zakończenia i podciągnąć je pod prawidła, będę Ci teraz mówił o odmianach imion przez *liczby* i *przypadki*.

Dla odmiany imion są dwie liczby: *pojedyncza* i *mnoga*. Samo ich nazwanie, daje Ci poznać, że one służą do rozróżnienia jedney rzeczy od wielu np.

Mędrzec wesoły a żywy,
Uczony niegadatliwy,

Panna, którąby myślała,
Jak dobrą żoną bydź miała,
Dłużnik rzetelny w oddaniu,
Trzpiot niekłamliwy w wyznaniu,
Dworak w duszy bogoboyny,
I żyjący podług cnoty,
Chciwiec dla ubogich hoyny:
Są *pojedyncze* istoty.
Ale kłamcy i sofiści,
Trzpioty, franci, egoiści,
Kłopoczący się oycowie,
Stratni bez względu synowie;
Panny, co tracą wiek młody,
Nie dla zatrudnień domowych,
Lecz dla marzeń romansowych,
Dla tańców, balów i mody;
Zawistnicy i podstępni,
Możni nie zawsze przystępni,
Gardzący klassą ubogą,
Ci składają liczbę mnogą.

Każda z tych liczb ma siedm przypadków czyli odmian wziętego imienia, np. *wiosna*.

Wiosn*a* Alinę maluje,
Wiosn*y* widok rozwesela,
Wioś*nie* Flora farb udziela,
Wiosn*ę* skowronek zwiastuje;
O Wiosn*o*! któż cię nie czuje?
Wiosn*ą* zima się nagrodzi,
O Wioś*nie* miłość się rodzi.

W tym przykładzie, postrzegasz Alino, że wyraz jeden *wiosna*, sześciu uległ odmianom zakończenia.

Odznaczające własności tych przypadków są:

Przypadek pierwszy, odpowiada na pytania: kto? co? jaki? jaka?

Przypadek drugi, odpowiada na pytania: czyy? kogo? czego? jakiego? jakiey?

Trzeci, odpowiada na pytania: komu? czemu? jakiemu? jakiey?

Czwarty, odpowiada na pytania: co? kogo? jakiego? jaką?

Piąty, oznacza wezwanie.

Szósty, odpowiada na pytania: kim? czym? jakim? jaką?

Przypadek siódmy *przyimkowy*, odpowiada na pytania: o kim? o czém? na czém? przy czém? po czém? po kim? w czém? w kim?

Gdybyś mi, dobra Alino, robiła porządkiem przypadków zapytania i wymagała potwierdzenia tego przykładami, jabym Ci odpowiedział.

Alin*a* jedna całkiem mię zaymuje;
 Wzrok Alin*y* czarującey,
 Roskosz i smutek sprawuje;
 Alin*ie* czułością tchnącey,
 Każdy serce ofiaruje.
 Alinę obrałem drogą,
 I do niey wzdycham jedynie.
 O Alin*o*! niebądź srogą,
 Bo szczęście moje w Alin*ie*.

Taka odmiana imion, nazywa się przypadkowaniem.

LIST CZWARTY.

Jednostayność lub podobieństwo odmian wiel-

kiey liczby imion, nazywamy *formą przypadkowania.*

Form na przypadkowanie rzeczowników mamy trzy: z których pierwsza, służy do odmiany rzeczowników rodzaju mezkiego, druga żeńskiego, trzecia nijakiego.

Ten podział, tak ogólny, bez względu na zakończenie imion, wymaga, abyśmy się pooosobno nad każdą formą zastanowili.

Uśmiéchniesz się, Alino, z obiétnicy mojey, że ja się mam zastanawiać nad czémkolwiek, co nie jest Tobą, i na początku, zapewna, nie rokujesz dla się z tego żadney korzyści; prawda:

Dzieła natury i sztuki,
Talenta, dowcip, nauki,
Martwe są dla duszy mojey;
Cała jey niebieska władza,
Wkoło Ciebie się zgromadza,
I niknie w dobroci Twojey.

Lecz kiedy mi niepodobna zastanawiać się nad tém, co nie jest Tobą, może przynaymniey ten przedmiot, który roztrząsam z Tobą i dla Ciebie, będzie mniey surowy. Doświadczenie mówi za mną.

Czy się błękit nieba chmurzy,
Czy wicher za wichrem żenie,
W czasie gromów, w czasie burzy,
Jedno Twe boskie spóyrzenie,
Horyzont dla mnie ozłaca,
I cichy pokóy przywraca.
Czy mię smutek prześladuje,
Czy zawiść z twarzą surową,

Moje przedsięwzięcia truje;
Uśmiéch twóy pełen słodycze,
Jasney pogody oblicze,
Szczęście przywraca nanowo.

Z tobą wesołość wesélsza,
Umysł nie zna zmordowania,
Z tobą młoda rzeskość śmielsza,
Uczucia pełne kochania:
Tak zawsze, wszędzie, z Aliną,
Godziny przyjemnie płyną.

Powiedziałem Ci, Alino, że rzeczowniki dzielą się na żywotne i nieżywotne: wiész nawet, jak odkrywamy rodzaje w tym ostatnich: wypada Ci teraz powiedzieć, że przypadkowanie imion nieżywotnych rodzaju męzkiego, różne jest od przypadkowania imion żywotnych tegoż rodzaju. I tak: przypadki drugi i czwarty liczby pojedyńczey imion żywotnych, kończą się pospolicie na *a*, rzadko na *u*, w imionach zaś nieżywotnych, niekiedy tylko na *a*, nayczęściey na *u*. Następująca tabliczka, jaśniey Ci wystawi te odmiany, tak w pojedyńczey, jako i w mnogiey liczbie.

Liczba pojedyńcza.

przypadki	Zywotne.	Nieżywotne.
1	Różnie	się kończy.
2	na a, rzadko na u.	na u, niekiedy na a.
3	owi, u.	owi, u.
4	a.	jak pierwszy.
5	e, u.	e, u.
6	em.	em.
7	jak piąty.	jak piąty.

Liczba mnoga.

przypadki	Zywotne.	Nieżywotne.
1	na owie, i, y, e, ie	na i, y, e.
2	ów.	ow.
3	óm.	om.
4	ów, zwierzęce jak 1	jak pierwszy.
5	jak pierwszy.	jak pierwszy.
6	ami, mi.	ami, mi.
7	ach.	ach.

Dosyć Ci powiedzieć, nadobna Alino, że jakiekolwiek prawidło ma wyjątki, a Ty je łatwo odkryć potrafisz.

Skłonność wiedzenia, płci Twojey wrodzona;
Lecz i któż nie jest ciekawy?
Zawsze przykrą jest zasłona,
Co zakrywa obcych sprawy.
Chwalebnie jest wiele wiedzieć,
Wszędzie zayrzeć, wszystko zoczyć,
By pięknie cóś opowiedzieć,
Lub zdanie jakieś przytoczyć.
I mnie uczono niegdyś ciekawości;
Lecz zbytecznie ją pojąłem,
Bo ją nawet rozciągnąłem,
Aż do miłości.
O! ciekawości okrótna!
Gorsza, im bardziey tajemna,
Lepsza niewiadomość ciemna,
Niżeli nowina smutna.

Dosyć odtąd szperać wszędzie.
Zegnam cię źródło słodyczy,

Którey każdą chwilę liczy,
Kochanek będący w błędzie;
Słodyczy serca wyznania:
Obce dla mnie twe złudzenia,
Przeszłe zapały kochania,
Zajęły zimne cierpienia.
Odtąd, jak w wyschłey dolinie,
Więdniejące kwiaty trwają,
Nim nań z gór ulewa spłynie,
Tak me uczucia czekają...
Czego? Aliny spóyrzenia,
Jey białey ręki ściśnienia,
Jey — ach dosyć, Muzo płocha,
Zbyt żąda każdy, co kocha.

Powiedziałem Ci, że imiona żywotne kończą się pospolicie w drugim przypadku na *a*, rzadko na *u*, gdyż te tylko mają na *u*: wół, bawół, skop, ród, lud, lód, naród, gmin, dwór, i może jeszcze niektóre, lecz ich bardzo mało. Imiona nieżywotne, zakończone w przypadku pierwszym na: b, f, d, l, m, n, p, s, t, w, mają przypadek drugi liczby pojedyńczey na *u*. Wszakże i tu są liczne wyjątki.

Abyś jednak nie mówiła,
Ześ się znów ze mną znudziła;
Krótkością się ograniczę,
I kilka tylko wyrazów wyliczę.

Mają przypadek drugi na *a*: chleb, dziob, melon, narcys, tulipan, brunet, świat, wieczór, łańcuch i t. d.

Z tychże imion nieżywotnych, po większey części zakończone na: c, ż, dz, cz, rz, sz, el, ak,

ag, ik, ig, i wszystkie prawie na spółgłoski miękkie, mają drugi przypadek na *a*.

Lecz nie dosyć tey dziwaczności mowy, są takie nawet wyrazy, które podług upodobania kończą się w 2m przypadku na *a* lub na *u*, jako te z nich: piorun, las, grzyb, ogród, suchar, zegar, orzech, wiek, i wiele innych.

Chcąc się o tych wszystkich wyjątkach i wyrazach w szczególności dowiedzieć, trzeba czytać grammatyki, pisane całkiem prozą, i to jeszcze wybrawszy z nich obszernieyszą. Tak zmudna droga pewnie Cię, luba Alino, przeraża i może odstręczać: płci twojey bowiem, często braknie na wytrwałości, a szczegolniey tam, gdzie nic nie mówi do duszy, lecz do suchey rozwagi. Żeby nam temu zapobiedz, to jest, utrzymać Cię w wesołey ochocie do polskiey mowy i przedłużyć moję pomyślność w odkrywaniu dla miłey Aliny jey skarbów

Powierzę Ci myśl szczęśliwą,
Bylebyś ją przyjąć chciała:
Rozkaż! a zawszebyś miała
Ze mnie Grammatykę żywą.

A nawet jeszcze i więcey, gdyż,

Ile razy w jakiey dobie,
Zaymiesz się polskim językiem,
By się nie trudzić słownikiem,
Ja w tenczas będę przy Tobie.
Co, w jakim względzie, który wyraz znaczy,
Jakie są jego odmiany,
Zdawniały, lub używany,
Twóy Ci przyjaciel chętnie wytłumaczy.

Odpowié na zapytania,
Chociażby nie grammatyczne;
Względy myślne wszak są liczne,
Nawet bez przypadkowania.
A bardziey z Tobą, nadobna Alino,
Z którą godziny tak, jak chwile, płyną,
Każda rozmowa wznosi i ożywia,
Uśmiéch zachwyca, albo uszczęśliwia,
Czyż może zabraknąć wątku?
Nie, sam tego doświadczałem;
Jedynie tylko na Ciebie patrzałem:
Patrzałem przy blasku słońca,
Dusza ma była w Twém oku;
I już po zmroku,
Wieczór zbliżał się do końca,
A słodycz była zawsze jak w początku.

Kiedy więc było słodko patrzeć na Ciebie; jeżeli się zaymiemy rozmową, będzie daleko słodziey.

Ja z Aliną, ona ze mną,
Łączeni siłą tajemną,
Będziem sobie powierzali:
Jakeśmy do się wzdychali,
Jak każde oczu spotkanie
Wprawiało nas w pomieszanie;
Jakem się ja często smucił,
Jak była srogą Alina,
Jak się rozum z sercem kłócił;
Jak nas naymnieysza przyczyna
Różniła, by znowu godzić;
Jak nam wielu chciało szkodzić,

I jak zawsze miłość stała,
Zwyciężała.

Po Grammatyce i po wspomnieniu przeszłości

Wolni od wszelkiey przynuki,
Póydziemy szukać nauki;
Nie w chmury niemieckiey szkoły,
Nie w Szweda jasnowidzenia (*),
Ale na przestwór wesoły,
Wesołego przyrodzenia.

Ileż to nas przedmiotów tam spotka! Ja Ci będę prawił, co różni o nich myślą; Ty mi powiész co sama sądzisz; a może po takiey rozmowie, ja więcey odniosę korzyści, niżeli Alina.

Musisz więc tymczasem sama zaradzać w odkryciu przypadkowania, a dla ulżenia, przytoczę Ci wzory odmian imion rzeczownych rodzaju męzkiego, czyli formy pierwszey. Zaczniymy od tego, w co Twoja uroda jest tak bogatą: zaczniymy od wdzięku i powabu.

Czém są dla Twey duszy cnoty,
Czém dla mnie spóyrzenie Twoje,
Czém dla wesołych pustoty,
Dla kwiatów wód czystych zdroje,
Czém są wymysły dla mody;
Tém są wdzięki dla urody.

Koniecznėm więc jest, abyś się dowiedziała, jak wiele możesz uczynić odmian ze *wdzięku* i *powabu*.

(*) Dzieła Swedenborga.

Liczba pojedyńcza.

1.	Wdzięk.	Powab.
2.	Wdzięku	Powabu.
3.	Wdziękowi	Powabowi.
4.	Wdzięk	Powab.
5.	O wdzięku!	O powabie!
6.	Wdziękiem	Powabem.
7.	We wdzięku	W powabie.

Liczba mnoga.

1.	Wdzięki	Powaby.
2.	Wdzięków	Powabów.
3.	Wdziękóm	Powabóm.
4.	Wdzięki	Powaby.
5.	O wdzięki!	O powaby!
6.	Wdziękami	Powabami.
7.	We wdziękach	W powabach.

Podług tych dwóch wyrazów, wszystkie prawie mające podobne zakończenia będziesz mogła przypadkować. Abyś się zaś nie omyliła w następnych dwóch formach zachować te przepisy, przykłady zakończą dzisieysze nasze zajęcie się Grammatyką. Inne przedmioty Cię zaymą, a z niemi i inny nauczyciel.

W moichto tylko marzeniach,
W żądzach, myślach, zatrudnieniach,
Moja uczeniczka skromna,
Zawsze przytomna.

(*Następują wzory przypadkowania.*)

MIŁOSĆ NIEMA:

Powieść, z niemieckiego przez N. A. K.

Żył niegdyś w Bremie kupiec nazwiskiem Melchior, tak bogaty, iż kazał był izbę swoję jadalną wybić wielkiémi talarami. W owym wieku dostatków, panował, jak i teraz, pewny zbytek, z tą różnicą, że zbytek naszych pradziadów był okazalszym od naszego. Chociaż Bremeńczykowie, a nadewszystko jego spółbracia handlarze, posądzali Melchiora o chełpliwość; wszakże w tak szczególném obiciu więcey było gruntownych widoków, aniżeli chluby. Przebiegły kupiec wiedział, że jego pozorna wystawność bardziey jeszcze wznieci odgłos o jego bogactwach, a tém samém kredyt powiększy. Jakož wyśmienicie dopiął swojego celu: wielkie talary, tak zgrabnie uszykowane w jego izbie jadalney, lubo martwe na pozor dla handlu, stokrotnie mu się odpłacały przez rękoymią, którą czyniły we wszystkich jego działaniach handlowych. Z tém wszystkiém, obicie to stało się nareszcie szkopułem, o który się rozbiła pomyślność domu naszego kupca.

Melchior umarł nagle pod czas obiadu z barwen, na którym zaspokoiwszy swe łaknienie do syta, pokwapił się nieco w ugaszeniu pragnienia; nie miał czasu rozporządzić swym domem; całe zatém jego dziedzictwo wpadło w ręce syna jedynaka, mającego już wiek, w którym prawo dozwala młodzieńcowi zawiadywać swém dobrém. Franciszek Melchior odebrał od natury nieosza-

cowane dary. Był on dobrze ukształcony i silny; humor miał wesoły, i rzekłbyś, że wołowina hamburgska i wino sauternskie, których nieboszczyk oyciec nie zaniedbywał, szczęśliwy miały wpływ na jego skład ciała i temperament. Rumieniec zdrowia krasił jego policzki, czarne jego oczy pałały żywością, słowem: był podobnym do owych roślin, którym dosyć jest piasku i nieco wody do buynego wzrostu, gdy przeciwnie, na gruncie żyznym wycieńczają swoję zbyteczną krzepkość wyrostkami bezużytecznemi, nie wydawszy owoców. Ledwo Franciszek zakosztował uciechy, widząc się panem wielkiego majątku, wnet zaczął się prowadzić tak, jakby mu jego bogactwo było ciężarem, którego skwapliwie chciał się pozbyć; każdy dzień był u niego świętem. Zadney uczty nie widziano na dworze arcybiskupa, któreyby jego nie zakassowały obiady. Póki miasto Brem będzie miastem, nie zdarzy się nigdy *festyny woley* (*), podobney do tey, jaką on co roku wyprawiał. Rozsyłał bowiem każdemu z mieszkańców potężną sztukę mięsa i butelkę wina hiszpańskiego; ztąd nie dziw, iż wszędzie spełniano za jego zdrowie.

W tym odmęcie uciech, ani przyszło na myśl utrzymanie równowagi. Szereg lat upłynął, a Franciszek nie dostrzegł naymnieyszego ubytku w swoich dostatkach: gdyż po śmierci oyca wszystkie kufry były napchane złotem. Zgłodniała

(*) W miesiącu wrześniu odbywa się w Bremie wielki jarmark na woły. Każdy nieco dostatnieyszy mieszkaniec kupuje jednego wołu na zabicie i usolenie na zapas zimowy. Z tey okoliczności wydają uczty, zwane *festyną wolą*, a nawet jest zwyczay posyłać krewnym i przyjaciołóm sztukę mięsa.

gawiedź przyjaciół stołowych, opowiadaczów anegdot, lubych towarzyszów skubiących w karty, i t. p. tak starała się ciągle zaymować Franciszka, iż mu nie zostawało nawet chwili do weyrzenia w siebie. Tym czasem zdróy Potozy wyschnąć musiał. Raz gdy wexle na wielką summę, podpisane przez Franciszka, podane były kassyerowi, ten uyrzał się w niemożności zadosyć uczynienia podpisowi swojego mecenasa. Młody trzpiot, dowiedziawszy się o tém, zamiast tego, coby miał otworzyć oczy na stan swoich interessów, oburzył się na kassyera, rozkazując mu szukać natychmiast pieniędzy.

Wmgnieniu oka, faktorowie, a nawet lichwiarze, stanęli na zawołanie. W kilka dni ogromne summy wpłynęły do kassy Franciszka; Bóg wié na jakie procenta! W owych czasach, izba jadalna, wyłożona wielkiemi talarami, mogła czynić równie pewną porękę, jak dzisia wexel kongressu jeneralnego amerykańskiego. Lecz jednego dnia głucha pogłoska rozeszła się po mieście: jakoby talary zostały sprzątnione, a ich mieysce zajęły kamienie. Na prośbę wierzycieli, rzecz ta sądownie była śledzoną i za rzetelną uznaną. Tynk mozaikowy lepszy nie równie sprawiał widok, aniżeli talary, na których stępel był zatarty; lecz wierzyciele tak mało ważyli czystość gustu Franciszka, iż domagali się wypłaty swych należności bez zwłoki; że zaś ta nie nastąpiła; ogłoszono bankructwo, a kamienica w mieście, magazyny i dom letni za miastem, przedane zostały przez publiczną licytacyą.

Zapoźne uwagi Franciszka względem przeszłości, mądre postanowienia na przyszłość, by-

ły bezskutecznemi. Dla zapobieżenia całkowitey swey zgubie, tyle tylko mógł uczynić, iż zachował kleynoty matki, które mu zapewniały na niejaki czas opędzenie potrzeb życia.

Najął w uliczce odległey mały pokoik, gdzie słońce nigdy nie zayrzało. W domu tym znalazł zaspokojenie swych potrzeb, teraz bardzo skromnych. Oszczędny stół gospodarza głód jego zaspakajał, wielki piec zabezpieczał go od zimna, dach zasłaniał od deszczu, a cztery ściany od wiatru; lecz trapiła go nuda, na którą nie miał lekarstwa. Dawni przyjaciele przestali go odwiedzać odtąd, jak strwonił majątek, a nawet udawali, jakby go nie znali. Nie było jeszcze w modzie czytania; w prawdzie też nie było i xiążek rozrywkowych, prócz *Theuerdanka* (*) i kilku rycerskich romansów, któreto płody przez uczeńszych tylko były czytane. Franciszek, nie licząc się bynaymniey do ich rzędu, musiał przestać na brząkaniu na gitarze i wyglądaniu przez okno, dla robienia postrzeżeń meteorologicznych. Wkrótce jednak znalazł cóś ciekawszego do obserwowania, aniżeli deszcz i pogodę.

Naprzeciwko, mieszkała poważna niewiasta, nadobną mająca córkę. Czekając lepszych czasów, matka z córką żyły z kręcenia wrzecionem od rana do zmroku. Dwie te prządki pochodziły z dobrey familii, i niegdyś opływały w dostatkach. Oyciec piękney Mety miał na morzu swóy okręt, który corocznie prowadził sam do Antwerpii, naładowany własnemi towarami; lecz w

(*) Poemat, w którym wyprawy Maxymiliana I. cesarza Niemiec, opiewane są pod allegoryczną zasłoną. Pierwsze jego wydanie ukazało się w roku 1517.

dziecińistwie jeszcze Mety, gwałtowna burza pochłonęła wraz z oycem okręt i majątek. Matka jey zniosła z męztwem swoje nieszczęście; nie przyjęła pomocy krewnych i przyjaciół, i postanowiła żyć jedynie z pracy rąk własnych. Dom i bogate sprzęty oddała wierzycielom nieboszczyka męża, a sama najęła małą izdebkę, gdzie przędła od świtania do nocy, będąc wynagradzaną za swoje trudy, tą pociechą, iż nikomu nic nie winna. Skoro jey córka tyle dorosła, iż mogła bydź ku pomocy, wprawiała ją także do przędzenia, i z taką oszczędnością wszystkie swe wydatki miarkowała, iż wkrótce złożyła się mała sumka, która jey do prowadzenia handelku lnem służyła.

Poczciwa wdowa tuszyła sobie jednak przepędzić schyłek życia w stanie różnym, od tak blizkiego nędzy. Meta była piękną, cnotliwą i wybornego charakteru; dobra matka, kochająca serdecznie swą córkę, ograniczała się w naycięższych potrzebach, byle jey dać wychowanie, przez któreby mogła stać się małżonką, jakiego majętnego człowieka. W owym wieku piękność i cnota tyle miały powabu w oczach tych, którzy się starali o żony, ile dziś majątek i znaczenie. Na wzór rzadkiego kwiatu pielęgnowanego naystaranniey, piękna Meta żyła bardzo odosobniona, pod okiem swey matki; nie widywano jey, ani na spacerach, ani na zabawach: a ledwo raz na rok oddalała się za obręb rodzinnego miasta. Pełna nadziei odzyskania dostatków przez zamęzcie swey córki, Brygida taiła ją przed okiem wszystkich, czekając cierpliwie, nim jaki poczciwy i dostatni człowiek nie odkryje jey w tém zaciszu.

Raz gdy Franciszek wytknął był głowę przez okno, postrzegł piękną Metę, powracającą z matką z kościoła, gdzie co dzień bywały na mszy. W czasie gdy był bogatym, porwany wirem uciech, mało był usposobionym do uczucia tak delikatnego, jakiém jest miłość. Teraz dopiéro, w zaciszu ustronnego życia, serce jego stało się przystępném dla tkliwych wrażeń. Wzruszył się na widok naypięknieyszych kształtów, jakie mu kiedykolwiek imaginacya wystawiała. Wypytał się u swego gospodarza o piękney sąsiadce: dowiedział się o tém, o czém już wiémy.

Poraz pierwszy doznał żywego strapienia, iż strwonił płochą rozrzutnością swoje dziedzictwo; chciałby był teraz odzyskać dawną swą możność, aby zrobić los lubey Mecie. Mały jego pokoik na wązkiey ulicy, tak mu się stał miłym, że nie mieniałby na *Schudding* (*). Odtąd bez przestanku siedział w oknie, i ilekroć uyrzał swoję piękną sąsiadkę, tyle razy wpadał w zachwycenie.

Na nieszczęście, czuyna matka, obserwująca także, wkrótce dostrzegła skłonności swojego sąsiada, który, ponieważ dla swego tytułu marnotrawcy, źle był zapisany w notatach roztropney Brygidy, ta przeto zasunęła firanki tak, iż okno zakryte zostało nieprzenikliwą zasłoną, a Mecie zaleciła nie wyzierać więcey przez okno; gdy ją prowadziła do kościoła, zasłaniała jey twarz kapturkiem, a na domiarkę ostróżności, nagliła jey kroki aż do rogu ulicy.

Franciszek niewielką szczycił się przezor-

(*) Jeden z gmachów naycelnieyszych Bremeńskich, gdzie kupcy miewają swoje obrady.

nością, miłość wszakże dostarcza dowcipu i takim. Postrzegł się wnet, że go nieuważne zdradziły spóyrzenia; opuscił więc stanowisko okienkowe, w szczerym zamiarze nie wracania doń więcey, lecz znalazł inny sposób czynienia daley swoich obserwacyy, pomimo wiedzy Brygidy.

Kupił sobie, jak tylko mógł naywiększe zwierciadło, i zawiesił je w swym pokoju, naprzeciw okna, pod kątem takim, iż mógł dokładnie widzieć, co się działo u jego sąsiadek. Że zaś od kilku dni nie postrzegano obserwatora, firanki rozsuwały się powoli, i z wielką swą pociechą Franciszek widywał kiedy niekiedy, w swojem zwierciedle, obraz Mety. Im bardziey rozkrzewiała się miłość w jego sercu, tém bardziey podniecały się jego chęci. Chciał się odkryć ze swojemi uczuciami piękney sąsiadce, i dowiedzieć się, azali miał wzajemność. Droga, którey się dziś zwykł trzymać kochanek w podobney okoliczności, nieznaną była Franciszkowi. Wówczas trudno było wcisnąć się do mieszkania damy: wizyty ranne nie były jeszcze w modzie; przyymujące odwiedziny traciły sławę. Przechadzek, maskarad, podających teraz zakochanym tyle zręczności widywania się, wówczas nie znano; kobierzec tylko był mieyscem, gdzie dwoje kochanków czyniło sobie wzajemnych uczuć wyznanie. Wszakże, co do istoty rzeczy, wszystko tak szło, jak dzisia: chrzciny, gody weselne i stypy, były, nadewszystko w miastach znacznieyszych, zgromadzeniami, na których zawiązywały się małżeństwa; lecz ponieważ nikt nie życzył sobie przyymować do swego domu rozrzutnika takiego, jak Franciszek, nie

zapraszano go przeto, ani na chrzciny, ani na uczty pogrzebowe. Ani sposobu nie było mieć związki z Metą, za pośrednictwem jakiey usłużney subretki: Brygida bowiem nie miała służącey; sama trudniła się swoim handlem lnianym, i jak cień była nieodstępną od córki.

W takich okolicznościach nie podobna było Franciszkowi odkryć swoich uczuć Mecie, bądź ustnie, bądź na pismie; z tém wszystkiem udało mu się wynaleźć język, który, jak się zdaje, wyłącznie tylko miłości służy: oddawna celadonowie włoscy i hiszpańscy, tłumaczyli swe uczucia przez serenady, wyprawiane pod balkonami kochanek. Lecz, że poczciwy Bremeńczyk nie słyszał nigdy o serenadach, myśl przeto jego wydania miłości w muzyce, a tym sposobem uwiadomienia o niey Mety, jego własnym jest wynalazkiem.

W uniesieniu miłośném porywa za instrument, i wybiera akkorda harmoniczne i tkliwe; miesiąc nie upłynął, a miłość z niego zrobiła wirtuoza. Pierwsze jego próby, nie zdawały się bydź słuchanemi; lecz wkrótce wszyscy nadstawiali ucha w ciasney uliczce; skoro muzyk przygrywać zaczął, następowało milczenie, a Franciszek nie raz był szczęsliwym, widzieć w swém zwierciedle Metę, otwierającą okno. Dopokąd słuchała, póty grał *allegro* lub piękne walce; lecz jak tylko wrzeciono lub inne jakie zatrudnienie wzbraniało jey ukazać się, rozpoczynał wówczas *andante* lub też załośne dumki.

Meta zrozumiała wkrótce ten język wymówny. Po wielekroć czyniła próby dla przekonania się, czy się myli, i wreszcie poznała,

że od niey tylko zależało zmienić akkordy niewidomego muzyka; głaskała jey próżność, ta czarnoxięzka władza, mocą którey mogła wprowadzać lutnią sąsiada, z tonów wesołych do smutnych. Brygida tak miała głowę zajętą swoim handelkiem, iż żadney nie dawała uwagi na muzykę. Meta wystrzegała się udzielić postrzeżeń swoich matce, owszem suszyła głowę nad sposobami odpowiedzenia muzykowi. Oświadczyła, iż się jey chciało mieć wazony z kwiatami na oknie; matka, nie widując już obserwatora, którego pilność tak ją obrażała, postarała się jey wkrótce o tę niewinną uciechę.

Wówczas Meta zbyt często zaymowała się kwiatami; nic dziwnego, że musiała w każdey chwili na nie spóyrzeć, aby mieć pociechę, z widoku ich wzrostu i rozkwitania. Zachwycał się szczęsliwy kochanek, a jego wymowna lutnia nie zaniechała przesłać wyrazu tey radości, do ucha piękney amatorki kwiatów. Dzwięki te, miękczyły coraz bardziey serce niewinney Mety. Martwiła się, skoro jey matka przy stole mówiła zle o sąsiedzie, porównywając go z marnotrawnym synem. Nigdy nie omieszkała ująć się za niego, i składać całą przyczynę jego nieszczęścia na zwodnictwa, któremi był otoczony; zawsze atoli Meta zdawała się bronić go jedynie dla utrzymania rozmowy.

Gdy tak Brygida zionęła potwarze na młodego rozrzutnika, on tym czasem wyszukiwał sposobów, uprzyjemnienia życia swey sąsiadki, tak jednak, iżby się domyślić nie mogła, zkąd ma tę pomoc. Wprawdzie przysługi te, miały raczey na celu córkę, jak matkę. Franciszek

dowiedział się, iż Meta niezmiernie pragnęła mieć nową sukienkę, i że Brygida odmówiła jey tego, dając za przyczynę ciężkie czasy. Wiedział on dobrze, iż suknia albo sztuka materyi, przysłana z ręki niewiadomey, nie będzie przyjętą, i że wszystko popsuje, jesli się da poznać. Traf wywiódł go z kłopotu.

Brygida żaliła się przed sąsiadką. iż len się nie udał, i że więcey kosztował, aniżeli za jego wyroby płacono; a ztąd, że jey handelek, przestawał bydź źródłem dla niey pomocy. Franciszek poleciał do jubilera, przedał mu kolczyki nieboszczki matki, nakupił lnu, i ustąpił go w nizkiey cenie swojey sąsiadce przez kobiétę, którą sobie ujął. Kupno to, tak było zyskowne, że na Wszystkich-Swiętych piękna Meta w nowey pokazała się sukience.

Wszakże, wprzód, nim miał porę nacieszyć się swojém szczęsliwém podeyściem, wydała się jego tajemnica. Brygida, chcąc okazać wdzięczność handlarce lnu, za zysk z niego odniesiony, zaprosiła ją na wieczerzą, gdzie częstowała ryżem, w mleku dobrze osłodzoném i winem hiszpańskiém. Łakocie te wprawiły w ruch język staruszki; przyrzekała ona dostarczać lnu, byleby jey liwerant, dłużey chciał jey używać. Słowa te wznieciły podeyrzenie w Brygidzie: matka z córką poczęły badać staruszkę, która nareszcie zadosyć uczyniła wielokrotnym ich naleganiom. Meta zbladła, dowiedziawszy się o tém: coby ją było przejęło radością, gdyby Brygida nie była przytomną. Lecz znała sposób myslenia swey matki; trzeba się było po-

żegnać z piękną nową sukienką. Zacna matka, ze swey strony, wszystkoby była oddała, co miała, gdyby tylko odkrycie to tayném było córce: zapewne, że pragnęła widzieć swóy handelek kwitnącym, ale się lękała, aby wspaniałość jey sąsiada nie sprawiła na sercu córki wrażenia, mogącego zniweczyć jey plany. Postanowiła tedy, wyrwać z serca niewinney Mety pierwszy zarodek uczucia, które się mogło wkorzenić głęboko. Pomimo łez i błagań córki, lubiącey się ustroić, sukienka nazajutrz przez publiczną licytacyą została przedaną; pieniądze za nią, równie jak reszta zysku ze lnu odniesionego, zgrabnie uwinięto w papier i oddano do biúra Kuryera Hamburgskiego, z adressem: *do P. Franciszka Melchiora w Bremie*. Franciszek, odebrawszy pakiet, ani w myśli skąd ta pochodziła posyłka, sądził, że dawny dłużnik jego oyca opóźniony ten zwrót mu czynił; licząc zatém pieniądze zasyłał modły do nieba, aby ci wszyscy, którzy się znaydowali na jego rejestrze, tak byli skrupulatnymi, jak ten, co się teraz uiścił. Stara świegotka zaniechała opowiedzieć mu rzecz całą: miała dosyć tylko na doniesieniu, iż Brygida przestała już lnem handlować.

Wszakże, wierne zwierciadło odkryło Franciszkowi, iż w nocy wielka zmiana zaszła u sąsiadek przeciwkowych: znikły wazony z kwiatami, a gęste firanki zakrywały znowu okna. Meta rzadko się pokazywała; a jeśli na chwilę wytknęła głowę, twarz jey wyrażała głęboki smutek; oczy jey były zapłakane, a palce ocierały łzy, mające się wymknąć z powiek.

Na ten widok, Franciszek uczuł ściśnienie serca, a lutnia stała się tłumaczką jego boleści. Dręczył głowę, chcąc odgadnąć przyczynę strapienia kochanki. Aliści w kilka dni postrzegł, iż jego sprzęt nayulubieńszy, wielkie owe zwierciadło, było zupełnie bez potrzeby. W piękny jeden poranek jesienny, udawszy się do swey zwyczayney zasadzki, uyrzał firanki, zasłaniające przedtém okno, zdjęte, i wkrótce się przekonał, że ani jednego sprzętu nie było w owey izbie: sąsiadki wyniosły się dniem wprzódy.

Mógł teraz wyglądać przez okno, bez obawy dania komukolwiek pozoru, lub naprzykrzenia się.

Jak tylko był w stanie rozważyć zniknienie sąsiadek, przypomniał wnet sobie przerwanie handlu lnem, tudzież odebrane pieniądze, i nie wątpił, że Brygida była wszystkiego świadomą: wyprowadzenie się dowodziło, iż kroki jego cale się jey nie podobały, a ta myśl nie wiele sprawiała otuchy. Z drugiey strony, przysłuchiwanie się Mety miłośnym dźwiękom jego lutni, jey smutek, łzy, które widział w jey pięknych oczach w wigiliją opuszczenia domu, krzepiły jego odwagę. Pierwszém staraniem Franciszka było, odkryć mieszkanie Brygidy. Nie wiele miał do tego trudności: lecz, jako skromny kochanek, nie śmiał odmieniać swojego pomieszkania: celem zbliżenia się do przedmiotu swey miłości, przestał tylko na wyśledzeniu kościoła, w którym bywała na mszy, aby mieć choć raz na dzień przyjemność z jey oglądania. Gdy powracała, Franciszek nie omieszkiwał znaydować się pod bramą, mimo którey przechodzić jey wypadało, i ztamtąd pozdrawiał, co zastępowało bilecik słodki.

Gdyby Meta nie była surowie wychowaną, i gdyby matka jey nie strzegła, jak skąpiec swojego skarbu, sposób nader skromny zalecania się Franciszka, małoby na niey sprawił wrażenia; lecz obce wszelkim uciechom serce jey, skwapliwié otwierało się przed nowemi uczuciami; Franciszek był pierwszym, co ją natchnął wcale różnemi od tych, których doświadczała ku matce. Czuła w sobie dlań uprzeymość, zaledwo przed sobą samą nieutajoną, a którey każda inna dziewczyna nie miałaby trudności pojąć, że była miłością. Dla tego właśnie tak była stroskaną w czasie przenosin, i dla tego oddawała mu uprzeymie nawzajem ukłon, nie bez zarumienienia się jednak aż do czoła, każdego razu, jak tylko Franciszek stał na jey drodze z kościoła. Oboje tak się dobrze rozumieli, iż nie mogliby się lepiey rozumieć, będąc w zbliżeniu.

W tey części miasta, gdzie Brygida przeniosła mieszkanie, byli także sąsiedzi, których piękność Mety uderzyć mogła. Na przeciwko, mieszkał bogaty piwowar, przezywany od żartownisiów *mistrzem chmielnym*. Byłto młody wdowiec, który już ukończył żałobę, i myślał powtórnie się ożenić. Skoro uyrzał Metę, zaraz nazajutrz wybrał się iśdź prosić o jey rękę. Nasz wdowiec naymnieyszego nie miał do muzyki talentu, i zgoła nie rozumiał niemego języka miłości; lecz był właścicielem bardzo wziętego browaru, i prócz tego posiadał dobre zapisy na mieście, statek na Wezerze, i folwark niedaleko Bremy. Z takiemi rekommendacyami, nie mógł się lękać odrzucenia, ze strony młodey dziewczyny, która nic nie miała.

Wedle dawnego zwyczaju, odwiedził Brygidę, jako sąsiad, i oświadczył, iż życzył sobie zaślubić jey córkę. Dobra kobiéta nie posiadała się z radości: wszystkie swe układy ziszczonemi widziała; zdawało się jey nawet, że już wraca do dawnych dostatków; winszowała sobie odmiany pomieszkania, i przypomniała, że Franciszek był tego przyczyną; a lubo go nie lubiła, postanowiła wszelako zrobić mu prezent, aby się wywdzięczyć za przysługę, którą mimowolnie jey uczynił.

Przyzwoitość wszakże, nie dozwalała jey zbyt kwapić się w tak ważnéy rzeczy. Prosi o tydzień zwłoki, aby mogła wyrozumiéć córkę, przydając, iż spodziewała się dać zaspokajającą odpowiedź. Sąsiad pożegnał ją, bez sprzeciwiania się tey zwłoce. Nie uśpiał wyyść za próg, gdy Brygida sprzątnęła do szlabanu kądziel, wrzeciona i motowidło, jako narzędzia odtąd już niepotrzebne. Meta, powróciwszy ze mszy, bardzo się zdziwiła, widząc izbę przybraną, jak na wielkie święta. Brygida uprzedziła wszystkie pytania, opowiedziawszy, co się jey przytrafiło. Skreśliła biegle nayczarownieyszy obraz przyszłego szczęścia; spodziewała się, że uyrzy Metę posłuszną swey woli, lecz jakże się zawiodła! Meta bardziey, jak trup, zbladła, i utraciła przytomność na ręku matki. Odzyskawszy zmysły, zalała się łzami. Brygida nie szczędziła, ani prośb, ani uwag, aby skłonić córkę do przyjęcia tak dobrey partyi; niepodobna atoli było w nią wmówić, że jey szczęście zawisło od związków, do których wstręt miało serce. Tym czasem termin był bliskim końca.

Oczy Mety były czerwone i nabrzmiałe od płaczu. Skryta troska dręczyła jey serce; od trzech dni, nie miała nic w ustach. W nocy, nie zmrużyła oka; nareszcie do tak okropnego stanu przyszła, iż czuła matka, widząc chwiejącą się podporę, na którey gruntowała wszystkie swoje nadzieje, skłoniła się na stronę córki. Wiele jey kosztowało zrzec się tak dobrey partyi, lecz trzeba było już przystać. W dniu oznaczonym, ukazał się wdowiec, ani wątpiąc o pomyslnym skutku. Jakież było jego zdziwienie, gdy mu z naywiększemi ogródkami odmówiono. Piwowar powrócił z niczém: lecz że nie brakło w jego miescie ładnych dziewcząt, w miesiąc wybrał sobie inną.

Brygida musiała znowu dobyć ze starey skrzyni, schowane narzędzia, i do użycia przywrócić: a gospodarstwo na dawney stanęło stopie. Meta odzyskała zdrowie, i poczęła bywać na mszy.

Brygida atoli nie mogła ukryć zmartwienia, pochodzącego z zawiedzionych widoków; stała się bardzo milczącą, a jey smutek podwoił się w dniu zaślubiu mistrza chmielnego. Jak tylko orszak weselny ruszył do kościoła, a poprzedzające go skrzypki się ozwały, poczęła wzdychać i jęczéć, jak w owey chwili, kiedy jey doniesiono, że morze zagarnęło z mężem cały ich majątek. Meta patrzała na przechodzący orszak z naywiększą obojętnością; drogie kamienie, zdobiące wieniec mirtowy panny młodey, i potróyny sznurek pereł, otaczający jey szyję, naymnieyszego na niey nie zrobiły wrażenia; trapiła ją tylko dolegliwość matki; usiłowała więc cieszyć ją ujęciem i pieszczotami.

Wieczorem, gdy się zaczęły tańce. Brygida rzekła: Niestety! moja córko, gdybyś była chciała, rozpoczynałabyś assamble. Jakbym była szczęśliwą, widząc cię wywdzięczającą się tym sposobem, za moje starania koło ciebie w dzieciństwie podeymowane. Lecz nie przyjęłaś zdarzającey się partyi; nigdy więc cię podobno nie poprowadzę do ołtarza. Kochana matko! odpowie Meta, mam ufność w Bogu; że ty sama włożysz wieniec ślubny na moję głowę; gdy ten, co mi jest przeznaczony, przyydzie po moję rękę, serce moje natychmiast ślubować mu nie omieszka. Moje dziecie, nikt się nie ubiega o rękę ubogiey dziewczyny. — Z resztą twoja wieszczba niewielkie ci szczęście rokuje: rodziłaś się w kwietniu, obaczmy co powié kalendarzyk? — *Dziewczyna rodząca się w tym miesiącu, ma wesołą fizyonomiją, kibić wysmukłą, lecz jest humoru niestałego; jeśli się zdarzy partya, niech się strzeże odmawiać!* Słowo w słowo wszystko się zgadza. Nastręczyła się partya; tyś odmówiła; już tedy nie uyrzysz drugiey. Moja matko, nie uważay na to, co prawi kalendarzyk: serce moje ostrzega mię, abym czciła i kochała tego, z którymby mi żyć przyszło; a jeśli się nie zdarzy taki, ku któremu czułabym szacunek i miłość, będę się pracą rąk moich żywiła, a w starości matce będę służyć, jak przystoi na dobrą córkę. Lecz jeśli się ten, którego me serce kochać może, zjawi, pobłogosławisz memu wyborowi, abym była szczęśliwą na ziemi; nie chciey zaś pytać, czyli jest bogaty i poważany, lecz czy jest dobrym i po-

czciwym, czy go kocham i czy jestem kochana?

Rozprawa ta toczyła się dopoźna. to jest: dopóki skrzypce słychać było na weselu. To postanowienie Mety, która, pomimo swey młodości i wdzięków, skłaniała się przestawać na małém, odmówiwszy bogatey partyi, dało do rozumienia matce, że już sobie wybrała; i nie wątpiła, że to bydź musiał ów sąsiad na wązkiey uliczce. Odkrycie to zmartwiło ją nie pomału: wszakże nie pokazała tego po sobie. Straciła tylko nadzieję, doczekania się kiedyś wygodnego życia, i poddała się niedoli, która jey zdawała się bydź nieuchronną.

Rozeszła się pogłoska w mieście, że dumna Meta odmówiła ręki bogatemu piwowarowi, tak, iż nakoniec doszła do wązkiey uliczki, na którey mieszkał Franciszek. Nasz kochanek dowiedziawszy się o tey nowinie; nie chciał jey wierzyć; lecz gdy odmówienie przez wszystkich było potwierdzane, zaczął bydź pewnym posiadania serca uwielbianey osoby; a to, co było zagadką dla całego miasta, nie miało żadney u niego tajemnicy. Miłość przerobiła rozrzutnika na wirtuoza. Lecz umieć grać na gitarze, było w czasach Franciszka, lichym środkiem poprawienia losu. Meta zrobiła dlań z siebie ofiarę, nie mogącą bydź odpłaconą serenadą. Niestety! Meto, zawołał: czemużem cię wprzódy nie znał! byłabyś moim aniołem opiekuńczym; czemuż nie mogę się stać znowu tém, czém byłem! znalazłabyś ray na tey ziemi! Duszo ślachetna! poświęcasz się dla nieszczęśliwego, który ci nic, prócz serca, pełnego miłości, dać nie może.

Franciszek postanowił naprawić błędy przeszłe, swoją starannością. Ze wszystkich środków ku podźwignieniu swego stanu, chwycił się nayroztropnieyszego: przeyrzał papiery oycowskie: ponotował wszystkie summy zaległe na domach upadłych: i przedsięwziął podróż, w nadziei odzyskania choć części tych długów: zamierzał pieniądze te włożyć w handel, i liczył już okręty naładowane swemi towarami. Przedał zegarek oycowski, kupił szłapaka, który go miał zanieść na koniec świata.

Trzeba było oddalić się od Mety: cóż ona sobie pomyśli o jego nagłém zniknieniu? Będzie go miała za niewiernego, wygna zatém ze swego serca! To wspomnienie trapiło Franciszka. Wszakże miłość natchnęła go szczęśliwą myślą, ogłoszenia z ambony, tak odjazdu, jako i celu podróży. Prosił więc u przełożonego kościoła o modły, aby za pomocą nieba, pewny młody podróżny, szczęśliwie mógł się sprawić w interessach, powołujących go daleko od rodzimego miasta: modlitwy te miały trwać aż do chwili, w którey powróciwszy, złoży dziękczynną ofiarę.

Czekał na Metę, którey się ukazał w podróżnym stroju: przesunął się tuż mimo kochanki i pozdrowił ją z mnieyszą, jak zwykle, ostróżnością. Dziewczyna zarumieniła się, aż po białki oczu, a Brygida utyskiwała na natrętność Franciszka, i po tysiąc razy, powtarzała: Mówię tobie, że ten *nic potém* popsuje ci opinią. Odtąd niewidziano już Franciszka Melchiora w Bremie, a naypięknieysze oczy jego miasta oyczystego, naprózno go szukały. Meta

słyszała modlitwy na intencyą młodego podróżnego: lecz w smutku, pochodzącym ze zniknienia kochanka, zgoła nad niémi się nie zastanawiała. Zniknienie to było dla niey niepojętém: nie wiedziała, jak ma je sobie tłumaczyć. Lecz, gdy czas ukoił jey troski, i powoli przywykła do znoszenia nieobecności Franciszka z większą cierpliwością, uderzyły ją jednego razu modlitwy; jakož, w tym momencie przypomniała sobie stróy kochanka widzianego po raz ostatni. Nagle oświeciła się w tey rzeczy. Odtąd modlitwy, których przedtém zaledwie słuchała, podały jey zręczność zasyłania do niebios naygorętszych modłów, i polecania młodego podróżnego Wszystkim SS.

Tymczasem Franciszek odbywał podróż do Brabancyi, w nadziei odzyskania znacznych summ w Antwerpii. W owym wieku, kiedy każdy magnat, przywłaszczał sobie prawo osiadania nad drogą, w celu łupienia wędrowników, którzy wolnego przeyścia nie opłacili, podróż z Bremy do Antwerpii, przedstawiała więcey trudności, aniželi dziś podróž z Bremy do piątey części świata.

Raz, gdy przebywał Westfaliją, zaskoczyła go noc na polu otwartém. Ulewa gwałtowna przemoczyła go do nitki. Przywykły od dzieciństwa do wszelkiego rodzaju wygód, Franciszek rozpaczał na wspomnienie, że będzie musiał przepędzić noc w zmokłém odzieniu. Szczęściem, po uspokojeniu się burzy, postrzegł światło w dali, i nie długo potém uyrzał się przy chatce. Buda ta, podobnieysza raczey była do stayni, aniželi do mieszkania ludzkiego,

a nieużyty pasterz, w niey mieszkający, odmówił mu ognia i wody; zabierając się już usnąć pomiędzy swojém bydłem, nie chciał rozniecać ognia, dla wygody podróżnego. Franciszek klął Westfalczyka; lecz pasterz, równie mało wzruszony przeklęstwy, jak prośbami, zgasił lampę, nie troszcząc się bynaymniey o niego. Gdy wszelako przemokły podróżny, nie przestawał wrzeszczeć doń przeze drzwi, dla pozbycia się natręta, rzekł: Przyjacielu, nie otrzymałbyś u mnie tego, czego ci potrzeba; lecz przejedź las, a staniesz pod zamkiem zacnego rycerza Eberharda de Bronkhorst: przyymuje on wszystkich podróżnych z takiém ujęciem, jak Templaryusze pielgrzymów, idących do grobu Zbawiciela. Ale ostrzegam cię, iż on ma szczególne dziwactwo; oto: nie wypuszcza ze swojego zamku tych, których przyjął, nie osmagawszy na pożegnanie; jeśli cię więc taka poczostka nie trwoży, śpiesz do bramy, a będziesz nad podziw dobrze przyjętym.

Dostać smaganie za wieczerzę i butelkę wina, jest dosyć dziwna zapłata. Franciszek był zrazu niepewnym; lecz nareszcie postanowił probować szczęścia. Wszak, mówił do siebie, czy to mię będą boki bolały, żem spał na gołey ziemi, czy, żem był obity przez ślachetnego rycerza Bronkhorst, wszystko to jedno. Nacierania jego, może mię uchronią od fébry, któréy aż nadto pewny jestem, skoro tylko nie będę mógł przesuszyć odzienia. Puścił się galopem, i w kilka chwil znalazł się u bramy gotyckiego zamku. Zastukał nieco mocno: Kto tam, ozwie się doń głos stentoryyski. Prze-

mokły podróżny, złorzeczył wszystkim wstępom, jakich wypadało doświadczyć; siła czasu musiał czekać, nim wywiedziano się: czy filantrop gospodarz jest w humorze osmagania spółbiesiadnika, lub czy mu każe przepędzić noc pod gołém niebem.

P. Bronkhorst, od naypierwszey młodości, służył w woysku cesarskiém, pod dowództwem walecznego Jessego de Fronsberg, a sam dowodził kompaniją piechoty, podczas woyny z Wenetami; poźniey oddalił się ze służby, i żył w swoim majątku, gdzie dobremi uczynkami, nagradzał wojenne ustérki. Łaknących karmił, pragnących poił, przyymował w dom podróżnych, i uraczywszy, jak należało, smagał: gdyż, lubo od wielu lat zaniechał żołnierki, nie mógł atoli pozbyć się cierpszych niektórych sposobów obchodzenia się, których nabył w obozach. Nie długo dano czekać Franciszkowi; po kilku minutach otwarły się bramy podwoje; skrzyp ich wrzeciądzów, zdawał się bydź złą wróżbą naszemu wędrownikowi. Wielu służalców zbiegło się, aby mu dopomódz zsiąśdź z konia; śpiesznie odwiązali jego matelzak: wzięli konia do stayni, a kawalera wprowadzili do oświeconey sali, gdzie ich pan na niego czekał.

Marsowa mina tego człowieka, zapaśniczego wzrostu, a który był jeszcze w kwiecie wieku, tubalny głos, którym wyrzekł: dobry wieczór, sposób, jakim wstrząsnął jego rękę, tak, iż Franciszek miał już ją za straconą, taką trwogą przejęły naszego podróżnego, iż drżał po całém ciele. Co ci jest, młodzieńcze? zapytał rycerz głosem grzmiącym. Drżysz jak listek,

a bladyś jak umarły. Tchórzostwo Franciszka, zmieniło się w wybieg ze zbytku bojaźni. Co mi jest! odpowiedział: alboż nie widzisz, żem przemokły tak, jakbym wpław przebył Wezerę? Każ mi dadź odzież do przebrania się, i niech mi przyniosą grzanego piwa, dobrze zaprawionego imbierem: a fébra, która już mię brać zaczyna. przeydzie. Dobrze, bardzo dobrze, rzekł rycerz, rozgość się tak, jakbyś był u siebie, rozkazuy, czego ci potrzeba.

Franciszek posługiwał się jak basza; odważywszy się na kije, chciał przynaymniey zasłużyć na nie. Nie stawało domownikom rąk i nóg, do spełniania jego rozkazów. Ten kaftan, wrzaśnie, robiony na olbrzyma, dać mi inny dogodnieyszy! Mam nagniotki, te pantofle mię cisną, dać mi obszérnieysze! kołnierz ten twardy jak skóra, postarać się o inny, coby mi nie nacierał uszu!

Pan zamku, miasto obrażenia się otwartością Franciszka, krzyczał na służących, aby co prędzey spełniali rozkazy gościa, zwąc ich hultajami, nieznającemi się na służbie. Gdy stół nakryto, posadził obok siebie Franciszka: po skończeniu grzanego piwa, gospodarz zapytał gościa: Czy będziesz jadł jeszcze? Zapewne, odpowie mu; każ przynieść, co jest, abym obaczył; czy dobrą masz kuchnią i piwnicę. W momencie podano wyborną zupę. Franciszek jadł za cztérech, nie czekając póki go poproszą. Kiedy się nasycił, rzecze do gospodarza: Jeśli twa piwnica taką jest jak kuchnia, to przyznam się, że dóm twóy należycie opatrzony. Na znak

rycerza, podczaszy napełnił *Willkommen* (*) winem pospolitém, i podał panu, który go wychylił za zdrowie Franciszka, a ten nawzajem. Jakże ci się zdaje to wino? zapytał rycerz.— Bezecne, jeśli to twoje naylepsze; a nie złe, jeśli to u ciebie ostatnim gatunkiem. Rycerz dał znak podczaszemu, który przyniósł inne wino. Otóż to właśnie takie, rzekł nasz podróżny, piymy!

Natychmiast przyniesiono konew dwuuszną z winem. Dway nasi biesiadnicy pili na wyścigi, a gdy rycerz nieco się podochocił, zaczął prawić o swoich wyprawach przeciwko Wenetóm. W zapale opowiadania, tak wyrabiał nożem stołowym, iż Franciszek trwożył się nie raz o swóy nos i uszy.

Noc już była spoźnioną, a rycerz nie pokazywał chętki udania się na spoczynek: tyle miał uciechy w opowiadaniu swoich czynów. Za każdém pociągnienim, żywość jego narracyy wzrastała. Widząc go tak zagrzanym, Franciszek spodziewający się blizkiego rozwiązania rzeczy, chciał wiedzieć, czy będzie nocował w zamku, czy na polu: kazał więc nalać swóy puhar z wierzchem i przydał: otoż już ostatnia czara! mniemał, że gospodarz przymuszać go będzie do picia, aby wszcząć sprzeczkę, a potém mieć powód do wytrącenia go za drzwi ze zwykłem pożegnaniem; lecz na jego wielkie zdziwienie, rycerz przerwał swą historyą, mówiąc: prawda, że już późno; więc do jutra. Daruy mi P. Kawalerze, rzecze Franciszek; ze wschodem słońca muszę bydź na koniu. Mam wielką przed sobą drogę; jadę

(*) *Willkommen*, miłe przybycie. Wielki puhar, z którego spełniano za zdrowie gości.

bowiem do Brabancyi, i zatrzymywać się nie powinienem. Żegnam więc cię teraz, abym nie przerywał snu porankowego. Jak się ci podoba, odpowie rycerz, lecz nie odjedziesz przed mojem wstaniem; przekąsimy nieco i wypijemy po szklance gdańskiey wódki; potém przeprowadzę cię do bramy, gdzie pożegnam moim zwyczajem.

Franciszek, dla którego te słowa nie potrzebowały objaśnień, całem sercem uwolniłby był swojego gospodarza, od tego zbytku grzeczności. Rycerz kazał służącym rozebrać gościa i zaprowadzić do łóżka. Franciszek legł rozkosznie na miękkiey pościeli: nim jednak zasnął, mówił sam do siebie: za podobny nocleg, warto się poddać pod kije. Wdzięczne marzenia sen jego pieściły: widział piękną Metę w gaiku różanym, zrywającą kwiaty dla matki; poczém imaginacya przeniosła go na wąską uliczkę, gdzie w swojem zwierciedle oglądał kochankę, polewającą kwiaty; czasem też siadywał przy niey na murawie, i chciał uczynić wyznanie swojey miłości, lecz go obawa wstrzymywała. Dłużeyby może podobne sny trwały, gdyby go nie obudził donośny głos rycerza, który od switania zwijał się po kuchni i piwnicy, kazał przygotowywać śniadanie, i każdemu służącemu właściwe wyznaczał stanowisko, aby byli gotowymi do służenia i ubrania gościa, jak tylko się ocknie.

Ciężko mu było opuszczać wygodne łoże, gdzie miał sny tak czarujące; lecz rozlegający się głos rycerza, zwiastował mu, iż należało poddać się losowi. Wstał przeto; kilku służących pomagało mu ubrać się; rycerz zaprowadził go do izby

jadalney, gdzie już sniadanie było nakryte; lecz nasz podróżny nie czuł naymnieyszego apetytu.

Czemuż nie jesz? rzekł gospodarz. Nie powinieneś wyrywać się na czczo, w mglisty poranek. Panie kawalerze, odpowie Franciszek, takem się nasycił wczora, iż nie podobna, abym jadł teraz; już się nie pomieści w moim żołądku, chyba tylko w kieszeniach, i wnet zaczął je napełniać. Widząc, że prowadzono konia, wypił kubek wódki, w mniemaniu, iż na to hasło odjazdu, rycerz porwie go za kołnierz, dla zwykłego pożegnania.

Wszakże, z wielkiém jego podziwieniem, wstrząsnął go serdecznie za rękę, jak przy powitaniu, życzył szczęśliwey podróży i rozkazał otworzyć bramę. Tego też trzeba było Franciszkowi: zaciął konia i puścił się czwałem.

Uyrzawszy się na równinie, nasz wędrownik poczuł ulgę na sercu: nie mógł pojąć dla czego gospodarz wyjął z reguły powszechney; uczuł żywą przyjaźń dla tego gościnnego człowieka, a chcąc się dowiedzieć przyczyny, tak dziwnych o nim pogłosek, ściągnął cugle i wrócił nazad kłusem. Kawaler rozmawiał przed bramą zamku, ze swojemi domownikami, którym, jako znawca i miłośnik koni, udzielał swoich postrzeżeń nad sposobem jeżdżenia Franciszka. Gdy go uyrzał wracającego, sądził, że czegokolwiek zapomniał; spóyrzał więc ostro na służących, i miał im wyrzucać niedbalstwo: młodzieńcze, rzecze do Franciszka, czy ci czego nie braknie z rzeczy, żeś się wrócił? Nie, zacny kawalerze, odpowie Franciszek, lecz chciałem zasięgnąć od ciebie w jednym punkcie objaśnienia. Chodzą o tobie niegodziwe wieści; powiadają, że lubo wprawdzie przyymujesz dobrze wszystkich przybyl-

ców, szukających w twym zamku gościnności, atoli na odjezdném, dajesz im poznać moc swojey prawicy. Wierząc tym wszystkim pogłoskom, czyniłem wszystko, com mógł, abym zasłużył na pożegnanie, któregom był pewny; gdy oto z wielkiém mojem podziwieniem dozwalasz mi odjechać bez naymnieyszego złego; powiedz więc, proszę, luby móy łaskawco, czy jest w tém choć cień prawdy, co o tobie mówią, albo czy mogę śmiało powstawać na te potwarze. Odgłos publiczny, odpowiedział rycerz, bynaymniey nie jest kłamliwym; owo *powiadają* krążące pomiędzy pospólstwem, nie jest nigdy bezzasadnem. Wytłumaczę ci sam, co to jest: tulę do mego domu każdego, proszącego o przytułek, i mam sobie za roskosz dzielić się z nim moim chlebem i winem. Jestem Niemiec z duszą i ciałem, Niemiec z dziadów i pradziadów; lubię mówić bez ogródki, co myślę, i chcę, aby móy gość otwarcie mówił, aby rad był temu wszystkiemu, co mu dadź mogę, a upomniał się smiało o to, czego mu potrzeba. Lecz jest rodzay ludzi, co mię dręczą swojem obeyściem się i ceremonijami, co katuje człowieka swojemi cedzonemi słówkami bez sensu i ładu, co u stołu robią korowody, jak młoda panienka, którą poraz pierwszy na ucztę wzięto. Powiesz takiemu: ależ bo jedz, to weźmie z uniżonością, jakąś kość, któreybym psu nie rzucił; kiedy do niego piję, aby pił także, zaledwie raczy omoczyć usta. Tacy to mnie nudzą, i skoro tylko podobny gość zanadto mię zniecierpliwi, zdarza się niekiedy, że go chwycę za kołnierz i wytrącę za drzwi, otrzepawszy nieco; to mi jest nieznośném; dla tego więc inaczey postąpić nie

umiem; lecz taki człowiek, jak ty, zawsze mi jest pożądanym gościem; mówisz otwarcie czego ci potrzeba; prosisz o to, co ci się podoba; bierzesz wreszcie co wolisz, jakby we własnym domu. Otoż to właśnie, z takimi żyć i umierać. Jeśliby wypadło, w ciągu twey podróży, przejeżdżać niedaleko, nie zapomniy mię odwiedzić. Bądź zdrów.

Franciszek ruszył kłusem do Antwerpii, pragnąc nayżywiey, wszędy podobnego przyjęcia, jak u kawalera Eberharda de Bronkhorst. Wjechał do Antwerpii pełen słodkich nadziei. Po wszystkich ulicach tego miasta, widok dostatkow uderzał jego oczy; rzekłbyś, że ubóstwo nie śmiało nigdy zbliżyć się do tego siedliska przemysłu. Wielu z dawnych dłużników mego oyca, mówił do siebie, zapewne się zapomogło, nie będą przeto w uiszczeniu się trudnymi.

Jak tylko cokolwiek wypoczął po znojach podróży, zasięgnął w oberży do którey zajechał, wiadomości o stanie interessów tych, u których miał się o długi upomnieć. Cóż się stało z Piotrem Marcinem? zapytał obok siedzącego u stołu.— Piotr Marcin, odpowiedziano mu, jest bardzo bogatym handlarzem. Fabijanowi Van Plurs czy dobrze się wiedzie? Fabijan Van Plurs, sam nie wie co posiada. Czy zawsze dobrze się udaje handel Jonatanowi Fryszkierowi? Opływałby w dostatki, gdyby hrabiemu D. nie wykradziono narzeczoney; miał bowiem dostarczyć korónek na wyprawę. Jeśli masz kochankę, ktorąbyś chciał ustroić w korónki, to ci przeda za pół darmo. Dom O. de Butekant, zawszeż się utrzymuje? Przed kilką laty o mało nie u-

padł; szczęściem, *karawelle* (*) hiszpańskie, zaciągnęły go do wioseł; teraz szybuje pełnemi żaglami po morzu.

Franciszek wypytał się podobnie o wielu domach, które były zbankrutowały za życia jego oyca, i dowiedział się, że do kwitnącego przyszły stanu. Szczęśliwe te nowiny dobrą mu sprawiły otuchę; uporządkował swoje papiery i stawił się przed dłużnikami: lecz go spotkał w Antwerpii los, spotykający zwykle wszystkich handlarzy, którzy z miłém weyrzeniem bywają przyjęci, a oburzają skoro tylko wspomną o dawnych swych należnościach. Niektórzy słuchać nawet nie chcieli o długach: drudzy nie przypominali sobie, aby był kiedy jaki Melchior z Bremy: inni składali rachunki, należnych im od niego pieniędzy; słowem, po czterech dniach, Franciszek wtrącony został do więzienia za długi, a jego mniemani wierzyciele, przysięgli, że nie uwolnią, póki do ostatniego nie wypłaci im grosza.

Tak tedy młody nasz wędrownik, który sobie tuszył odzyskać majątek w Antwerpii, uyrzał z boleścią, iż wszystkie jego spełzły nadzieje. Nie wyśmienicie mu było w więzieniu; z Metą trzeba było pożegnać się na zawsze! Oddał się więc rozpaczy, i pragnął śmierci, aby położyła koniec jego cierpieniom.

Prawdę mówiąc, handlarze Antwerpscy nie mieli bynaymniey myśli wyłudzenia pieniędzy od Franciszka, ale tylko pozbycia się go z głowy; nie chąc przeto karmić go dłużey w więzieniu,

(*) Jest to nazwisko okrętów hiszpańskich, wysyłanych w owym czasie do Ameryki.

po trzech miesiącach uwolnili naszego wędrownika, z warunkiem opuszczenia miasta w przeciągu dwudziestu czterech godzin, i nie postania nigdy nogą w obwodzie Antwerpii. Otrzymał pięć złotych na drogę, z rąk sprawiedliwości, straciwszy konia i rzeczy na opłatę kosztów prawnych. Nieszczęśliwy, z kijem w ręku, opuścił bogate miasto, do którego kilką wprzódy miesiącami, wjeżdżał na koniu, pełen naypochlebnieyszych nadziei. Ani myślał pytać się o dom gościnny, póki go głód i utrudzenie, nie przynagliły, śledzić oczyma jakiego pomieszkania. Przez kilkanaście dni błąkał się i niepostrzeżenie zbliżał się do swego rodzinnego miasta, gdy nagle jakby ze snu obudzony, poznał swą drogę.

W tey chwili zatrzymał się, nie wiedząc, czy ma się daley tym gościńcem puszczać, czy też nazad wrócić. Nie mógł znieść myśli, o powrócie do Bremy w postaci żebraka, gdzie byłby zmuszony wyciągać rękę do swych spółobywateli, których niegdyś przewyższał bogactwy; jakże się mógł pokazać Mecie? Cofnął się przeto tak spiesznie, jakby już był pod bramą Bremeńską; wystawiony na urągowisko. Postanowił udać się do któregokolwiek z portów Niderlandzkich, przyjąć służbę maytka na okręcie hiszpańskim, płynącym doNowego-Swiata, i niepowracać do oyczyzny, pókiby nie zrobił w Peru majątku, odpowiedniego tak nierozważnie strwonionemu. Począł więc iść co prędzey, jak gdyby ten pospiech zbliżał go już do chwili, w którey spodziewał się uyrzeć swoję kochankę.

(Dokończenie nastąpi.)